

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/polskie-sily-zbrojne-po/81517,Karpaty-pod-Monte-Cassino.html>



Żołnierze polscy pod Monte Cassino, maj 1944 r. (fot. NAC)

ARTYKUŁ

„Karpaty” pod Monte Cassino

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: TEODOR GAŚSIOROWSKI 18.05.2023

W grudniu 1943 r. we włoskich portach zaczęli schodzić na ląd żołnierze II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Pół roku później mieli stoczyć bitwę, która mocno zapisała się w historii polskiego oręża.

Dowódca brytyjskiej 8. Armii, do której przydzielono II Korpus, pisał do Polaków:

„Witamy z radością dywizje, które walczyć będą po raz pierwszy w szeregach 8. Armii.

Zwracamy się specjalnie do Polskiego Korpusu, który walczy obecnie wspólnie z nami dla odzyskania swej ukochanej Ojczyzny”.

Początkowo II Korpus skierowano na prawe skrzydło brytyjsko-niemieckiego frontu. Zluzował on nad rzeką Sangro 78. Dywizję Piechoty. Był to dość spokojny odcinek – walki ograniczały się do artyleryjskich pojedynków na odległość, starć patroli i prób zdobycia jeńców.

„Radio Wanda”, czyli wojna w eterze

Niemcy szybko zidentyfikowali nowego przeciwnika. Wiele uwagi poświęcili próbom demoralizacji Polaków. Zorganizowali w tym celu specjalny oddział propagandowy. Jego radiostacja „Gwiazda Południa” codziennie nadawała na falach krótkich i średnich cztery półgodzinne audycje po polsku. Spikerzy nienagannie posługiwali się językiem polskim. Szczególnie wybijała się wśród nich Maria Kałamacka „Wanda”. Z czasem żołnierze jej pseudonimem nazwali całą rozgłośnię: „Radio Wanda”.

Propagandowe audycje nadawane od 5 marca 1944 r. miały subtelnie sączyć jad namowy do dezercji. Na początek każdej w eter leciała *Pierwsza Brygada*. Później podawano nazwiska wziętych do niewoli, ubolewano nad zabitymi. Z tego powodu „Radio Wanda” było regularnie słuchane jako źródło informacji o losach zaginionych kolegów. Nigdy nie namawiało ono otwarcie do buntu przeciwko dowódcom i nie wyśmiewało żołnierskiego losu.

Niemcy wiele uwagi poświęcili próbom demoralizacji Polaków. Zorganizowali w tym celu specjalny oddział propagandowy. Jego radiostacja „Gwiazda Południa” codziennie nadawała cztery półgodzinne audycje po polsku. Spikerzy nienagannie posługiwali się językiem polskim. Szczególnie wybijała się

wśród nich Maria Kałamačka „Wanda”.

Wprost przeciwnie, spikerzy byli „dobrymi Polakami”. Pozdrawiali rodaków na obczyźnie. Mówili o „naszym rządzie w Londynie” i „naszym premierze”. Między tymi informacjami podawano inne: o wydanym przez Brytyjczyków zakazie noszenia polskich insygniów i głodzie panującym w oddziałach. Potem namawiano do dezercji, obiecując żołnierzom bezpieczny powrót do rodzinnych domów. Dopiero na koniec audycji pojawiała się zawołana groźba. Generałowi Andersowi dedykowano piosenkę: *Umarł Maciek, umarł*.

Tylko kilku żołnierzy II Korpusu dało się skusić. Znacznie częściej Ślązacy i Wielkopolanie przymusowo wcieleni do Wehrmachtu przechodzili na stronę jednostek polskich, o których obecności po drugiej stronie frontu dowiadawali się z radia.

Ponieważ audycje były transmitowane także przez gigantofony bezpośrednio na linii walk, Niemcy często po ich zakończeniu otrzymywali natychmiastową odpowiedź – artyleryjskie pociski spadające na miejsca, w których namierzono pracujące głośniki.

„Polacy, idziecie do Cassino!”

Równoległe z propagandą foniczną na polską stronę frontu przrzucono tysiące ulotek przedstawiających ginących żołnierzy ze złowróżbnym wezwaniem: „Polacy, idziecie do Cassino!”. A tam od jesieni 1943 r. wrzała bitwa. Setki dział amerykańskich, brytyjskich, nowozelandzkich ostrzeliwały pozycje niemieckich spadochroniarzy. Trzy krwawe szturm piechoty załamały się w ogniu dobrze przygotowanej obrony. W połowie maja 1944 r. rzeczywiście przyszła kolej na Polaków. Pewnej nocy po cichu opuścili oni swoje pozycje nad rzeką Sangro, przekazując je Brytyjczykom. Jednostki II Korpusu przewieziono w rejon Cassino.

Kolejny, czwarty już szturm musiał być ostatni, bo na odciętym przyczółku pod Anzio sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Przygotowano się starannie. Dziesiątki saperów pracowicie wykuło w skałach drogi dojazdowe dla samochodów terenowych, które dowoziły amunicję. Równoległe z nimi kompanie mułów objuczonych pociskami artyleryjskimi skrycie dostarczały je na stanowiska baterii ukrytych tuż za liniami piechoty. Maskujące siatki upodabniały stosy zgromadzonych skrzynek do kamienistych pagórków. Na koniec sami piechurzy wnosili na swoje górskie stanowiska moździerze z amunicją. Widok moździerzystów wciągających po stromiźnie na linach skrzynki amunicyjne nie był niczym nadzwyczajnym. W pewnym momencie wśród żołnierzy rozładowujących kolejny transport pocisków można było zobaczyć nawet oswojonego niedźwiedzia (szeregowy Wojtek służył w 22. kompanii zaopatrzenia artylerii) dźwigającego po

dwie czterdziestopięciokilogramowe skrzynie.



**Ruiny klasztoru Monte Cassino po
zakończeniu walk, maj 1944 r.
(fot. NAC)**

Generał Roman Odzierzyński, dowodzący artylerią II Korpusu, przygotował ze swoim sztabem plan ognia. Cztery pułki artylerii lekkiej, dwa pułki artylerii ciężkiej, pułk artylerii przeciwpancernej i pułk artylerii przeciwlotniczej (użytej tym razem do zwalczania celów naziemnych) miały torować drogę grupom szturmowym piechoty. Dodatkowego wsparcia miały udzielić jednostki artyleryjskie przydzielone bezpośrednio z 8. Armii: nowozelandzki 4. Pułk i Dywizjon Artylerii Lekkiej, brytyjskie: 140. Pułk i Dywizjon Artylerii Ciężkiej, dwa dywizjony 56. Pułku Artylerii Najcięższej, Dywizjon Ciężkiej Artylerii przeciwlotniczej. Kwatermistrzostwo dostarczyło im setki ton amunicji. Średnio na każde działo przygotowano 1,6 tys. pocisków.

Od początku maja sojusznicza artyleria ostrzeliwała ogniem nękającym wykryte wcześniej stanowiska niemieckie, ich drogi dowozu i ewakuacji oraz potencjalne pozycje artylerii. Huk dział maskował zmiany na pozycjach piechoty – odchodzenie Nowozelandczyków i koncentrację Polaków. Tym ostatnim zabroniono przeprowadzania jakichkolwiek akcji na przedpolu, które mogłyby zdradzić Niemcom, że ich przepowiednie znaną z Sangro się sprawdziły. O 22.00, 11 maja 1944 r. wstrzymano ogień, aby nie prowokować odwetowego ostrzału, w chwili gdy grupy szturmowe piechoty wychodziły na stanowiska wyjściowe do ataku. Zbiegiem okoliczności Niemcy w tym samym czasie wstrzymali swój ogień z tego samego powodu. Dokonywali właśnie wymiany żołnierzy na pierwszej linii. Zapadła złowróżbna cisza, szarpiąca uszy żołnierzy przywykłych do ciągłego huk.

Przemawia „bóg wojny”

O 23.00 radiotelegrafiści we wszystkich bateriach odebrali jednobrzmiący rozkaz nadany bezpośrednio z Londynu: „Otworzyć ogień!”; 294 działonowych jednocześnie powtórzyło: „Ognia!”. Przemówił „bóg wojny”

i pod Monte Cassino rozpętało się piekło. Przez następne trzy godziny co kilka, kilkanaście sekund rozlegała się salwa. Na zidentyfikowane wcześniej stanowiska niemieckich dział, moździerzy i karabinów maszynowych spadały pociski. Artyleryjskie przygotowanie natarcia miało zmieść niemiecką obronę, a przynajmniej osłabić ją na tyle, żeby piechota mogła zdobyć wzgórze. Jeden z niemieckich spadochroniarzy obserwujących wówczas z góry pozycje alianckie wspominał po wojnie, że wyglądało to, jakby w dolinie nagle zapalono wielkie reflektory.

Ale nawała artyleryjska spełniła swoje zadanie jedynie częściowo. Nie na darmo Niemcy prowadzili wojnę od lat, zdobywali doświadczenia na wszystkich frontach. Większość stanowisk artyleryjskich ukryli za grzbietami wzgórz. Na przeciwstokach przygotowali schrony dla spadochroniarzy, w których ci mogli przeczekać artyleryjskie przygotowanie natarcia. Swoje moździerze ustawili w głębokim „wąwozie moździerzy” tuż za pierwszą linią obrony, gdzie były praktycznie nieosiągalne dla polskiej artylerii.

Grupy szturmowe piechoty ruszyły 12 maja o 1.30. Razem z nimi szły patrole obserwatorów z pułków artylerii bezpośredniego wsparcia. Artylerzyści byli objuczeni nie tylko bronią osobistą, lecz również dokładnymi mapami terenu w specjalnych mapnikach, lornetkami, busolami i niezgrabnymi pudłami radiostacji do bezpośredniej łączności. To przez nie mieli wskazywać swoim kolegom namiary konkretnych celów do zniszczenia. Oprócz tego we wszystkich batalionach piechoty zwiększono liczbę lekkich i średnich moździerzy, które miały bezpośrednio wspierać atakujących. Do ich stanowisk poprowadzono połowe linie telefoniczne.

O 23.00 radiotelegrafiści we wszystkich bateriach odebrali jednobrzmiący rozkaz nadany bezpośrednio z Londynu: „Otworzyć ogień!”; 294 działonowych jednocześnie powtórzyło: „Ognia!”. Przemówił „bóg wojny” i pod Monte Cassino rozpętało się piekło. Przez następne trzy godziny co kilka, kilkanaście sekund rozlegała się salwa.

Piechota sforsowała pola minowe i zaporowy ogień moździerzy. Dotarła do wyznaczonych obiektów natarcia. Wśród niemieckich stanowisk rozgorzała zażarta walka na granaty, pistolety maszynowe i bagnety. Artyleria nie mogła już wspierać szturmujących. Musieli oni sami zdobyć bunkier po bunkrze. A kiedy już wydawało im się, że osiągnęli swój cel – poderwali się do kontrataku niemieccy spadochroniarze. Łącznościowcy zaczęli wzywać, aby własne moździerze „wysypały gruszki” przed ich stanowiskami. Na biegnących pod górę

Niemców spadł po chwili grad móżdżerzowych granatów. I tak cztery razy w ciągu nocy. Piechota mogła liczyć na ogniowe wsparcie, dopóki funkcjonowała łączność; dopóki kable telefoniczne nie zostały przerwane wybuchami wrogich pocisków; dopóki żyli telefoniści; dopóki nie zostały zniszczone radiostacje i wybite ich obsługi.

Podchorąży Tadeusz Czerkawski z 3. Pułku Artylerii Lekkiej wspominał po latach, że jego bateria, zgodnie z planem, po wykonaniu kolejnej nawały ogniowej miała chwilę przerwy w walce dla ostudzenia luf armatnich. Żołnierze owijali je szmatami moczonymi w lodowatym górskim potoku, te zaś natychmiast parowały. Jeden z kanonierów wlał do wylotu lufy swojego działka blaszankę wody z potoku. Po kilku sekundach dołem, otwartym zamkiem, wypłynęła struga wrzątku, parząc nogę innego kanoniera z obsługi. Artylerzyści, wykorzystując chwilę odpoczynku, zgromadzili się przy radiostacji, żeby się dowiedzieć, jak przedstawia się sytuacja grup szturmowych. W eterze coraz rzadziej odzywały się głosy wysuniętych obserwatorów. Początkowo wydawało się, że nie mają oni nic do zameldowania, a natarcie szybko się rozwija. Dopiero po dłuższej chwili zorientowano się, że może to oznaczać także rozbitcie radiostacji lub śmierć łącznościowca.

„Żaby skaczą, dajcie Karpaty”

W pewnym momencie z chaosu angielskich, polskich i niemieckich słów, meldunków, nawoływań, przez trzaski i gwizdy zakłóceń przebiła się prośba: „Żaby skaczą, dajcie Karpaty”. Wszyscy, jak przed chwilą Antoni Pernal, poczuli, jakby oblał ich wrzątek. „Karpaty” to był kryptonim ognia zaporowego tuż przed linią własnej piechoty, a „skaczące żaby” oznaczały kontratak spadochroniarzy. Obsługi skoczyły do armat. Przez pięć kolejnych minut cały pułk, 24 działka, w tempie siedmiu pocisków na minutę (brytyjska instrukcja obsługi przewidywała 4-5 strzałów jako maksymalne tempo), zasypywał ogniem wąziutki skrawek zbocza, po którym atakowali Niemcy. Zanim jeszcze lufa pchana oporopowrotnikiem wracała na swoje miejsce po wystrzale – z otwartego zamka wypadała łuska, a wprawne ręce wpychały do komory nowy pocisk. Po bitwie okazało się, że po tym kontrataku z 1. kompanii spadochronowej zostali jeden oficer, jeden podoficer i jeden żołnierz.

Janusz Beynar z 7. Pułku Artylerii wspominał z kolei, że kiedy natarcie się załamało i w południe 12 maja przyszedł rozkaz osłonięcia ogniem zaporowym odwrotu piechoty z krwawo zdobytych wzgórz 593 i 575 oraz z grzbietu Widmo, obsługi przy działkach płakały.

„Karpaty” to był kryptonim ognia zaporowego tuż przed linią własnej piechoty, a „skaczące żaby” oznaczały kontratak spadochroniarzy. Przez pięć kolejnych minut cały pułk, 24

działa, w tempie siedmiu pocisków na minutę,
zasypywał ogniem wąziutki skrawek zbocza,
po którym atakowali Niemcy.

Za cenę dwustu poległych, czterystu zaginionych bez wieści i tysiąca rannych II Korpus uzyskał jednak bezcenną wiedzę do organizacji następnego natarcia. Polacy dokładnie rozpoznali położenie niemieckich baterii artyleryjskich i moździerzowych. Krótkimi wypadami patroli prowokowali spadochroniarzy do kontrataków, które trafiały pod zmasowane nawały artyleryjskie.

Nocą z 16 na 17 maja planowano powtórzenie przygotowania artyleryjskiego. Okazało się jednak niepotrzebne. Wieczorem 16 maja grupy szturmowe jednej z kompanii 16. lwowskiego batalionu strzelców, dokonując prowokacyjnego wypadu, niespodziewanie wdary się aż na Widmo. Dowódca batalionu, wykorzystując sytuację, rzucił do ataku całą jednostkę. Jego śladem ruszyły pozostałe bataliony, które zgodnie z planem miały uderzyć dopiero rankiem. W szeregach piechoty pojawili się żołnierze z pułków artyleryjskich, którzy chcieli zastąpić poległych i rannych szturmowców. Dobrowolnie zamienili swoje w miarę bezpieczne stanowiska przy działach na udział w bezpośrednim ataku. Wiedzieli już, że charakterystyczne błyski anten niesionych przez nich radiostacji ściągają dodatkowy ogień. Zamaskowali więc anteny, owijając je siatkami i smarując błotem. Wiedzieli bowiem i to, że własna artyleria do skutecznego wspierania nacierających potrzebuje dokładnych i szybkich informacji z pola walki. I rzeczywiście, wykorzystując ich informacje o tempie posuwania się natarcia, artylerzyści przesuwali wał ogniowy tuż przed atakującą polską piechotę, nie pozwalając Niemcom na wyjście z ukrycia i obsadzenie bunkrów na pierwszej linii.



18 V 1944 r. w południe plut. Emil Czech odegrał hejnał mariacki w ruinach klasztoru na Monte

Cassino

Ciężkie i najcięższe działa nie musiały tym razem strzelać „do pola”, na którym były ukryte stanowiska artylerii przeciwnika. Zostały one bowiem dokładnie rozpoznane i oznaczone w czasie poprzedniego szturmu, a teraz były systematycznie niszczone precyzyjnym ostrzałem. Baterie niemieckiej artylerii, nakryte celnym ogniem, utraciły większość dział. Polskie moździerze wreszcie mogły dosięgnąć niemieckiego „wąwozu moździerzy”. Dane koordynacyjne podawane przez radio pozwalały na iście zegarmistrzowską precyzję przy ostrzale bunkrów z bronią maszynową.

Wreszcie nastuch radiowy przyniósł informację, że Niemcy opuszczają pozycje i schodzą z gór w stronę stanowisk Brytyjczyków, aby tylko nie poddać się Polakom. Inni wycofują się górskimi ścieżkami w kierunku drugiej pozycji obronnej – Linii Hitlera. Odchodzących spadochroniarzy żegnały salwy polskiej artylerii skierowane na wszystkie drogi i ścieżki niemieckiego odwrotu. W zniszczonym klasztorze pozostawili rannych.

Tekst pochodzi z numeru 5/2019 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ